

P.K. Farion, Mateusz Gostyński
Flashback

Copyright © by P.K. Farion, Mateusz Gostyński

Copyright © for this edition by Wydawnictwo Otwarte 2026

Opieka wydawnicza: Ewelina Tondys

Redakcja tekstu: Justyna Techmańska-Szewczuk

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja, korekta i łamanie: Pracownia 12A

Promocja i marketing:

Projekt okładki:

Adaptacja okładki na potrzeby wydania:

Fotografia na okładce:



Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

*Tym, którzy musieli zatracić siebie,
aby móc odzyskać swoje prawdziwe ja.*

PROLOG

Wyobraź sobie, że pewnego dnia dostajesz anonim, który naprowadza cię na obiekt twoich poszukiwań. Łapiesz trop i śledztwo staje się łatwiejsze. Jednak tylko z pozoru. Ktoś bardzo chce, abyś dorwała seryjnego mordercę, ale czy dlatego, że pragnie sprawiedliwości? Wpadasz w wir wydarzeń i zamiast odsłaniać kolejne karty, odkrywasz w sobie niezrozumiałe emocje.

Wyobraź sobie, że pewnego dnia budzisz się nagle i nic nie pamiętasz. Percepcja czasu zostaje zaburzona, a twoje życie traci sens. Spoglądasz w lustro i widzisz męską twarz, która jest ci zupełnie obca, a jednak wypowiada słowo, które wydaje ci się znajome. Bodźce docierają do ciebie i wywołują niezrozumiałą reakcję. A do tego jej dłoń...

Nie wiesz, kim on jest.

Nie wiesz, kim ona jest.

Nie wiesz, dlaczego tak się dzieje.

Nie wiesz, dlaczego jesteś w tym miejscu.

Nie wiesz zupełnie nic, oprócz jednego – musisz znaleźć rozwiązanie wszystkich tych niewiadomych.

WHO AM I?

Ian

Ktoś szarpie mnie za ramię. W głowie dudni mi jak po wybuchu bomby. Zmysł wzroku jest podrażniony. Obraz przed oczami powoli nabiera ostrości. Spoglądam w górę i widzę twarz częściowo przysłoniętą opadającą na czoło grzywką.

– Ian! – krzyczy kobieta, po czym chwyta mnie za szczękę. – Ian! – powtarza, zaciskając palce na mojej skórze.

Próbuję się podnieść, ale najmniejszy ruch powoduje ból, który momentalnie sprowadza mnie do parteru. Patrzę na nią, ale nie odpowiadam. Nie wiem, kim jest Ian, ani tym bardziej, kim ona jest.

– Co tu się stało? – pyta nieznajoma i opuszcza wzrok.

Spoglądam na swoje dłonie. Widzę na nich przyschniętą ciemnoczerwoną ciecz. Ostrożnie pocieram o siebie palce i w nozdrza uderza mnie metaliczny fetor. Obrzydliwe, ale nie tak przerażające i odpychające, jak mogłoby się wydawać.

– Czyja to krew? – pada kolejne pytanie.

Kobieta sięga w okolice paska i wyciąga pistolet, ale nie mierzy do mnie, tylko rozgląda się po pomieszczeniu, zupełnie pustym – tak jak moja głowa. Kurwa! Skup się, skup... powtarzam w myślach, ale nadaremno. Nie potrafię przywołać żadnego wspomnienia. Nie wiem zupełnie nic, poza jednym. Ta kobieta mnie zna, a krew na rękach nie oznacza nic dobrego.

W końcu podnoszę się z podłogi. Staję na prostych nogach. Czuję intensywne pulsowanie w żyłach. To doznanie nie jest mi obce. Serce po chwili zaczyna zwalniać, a oddech się uspokaja.

Odzyskuję zmysły. Słyszę i widzę klarownie. Stojącą przede mną kobietę opisałbym jako trzydziesto-, trzydziesto-czteroletnią singielkę, z zawodu policjantkę. Do paska oprócz kabury ma przypiętą odznakę LAPD. Ma na sobie nieformalny strój, zatem jest co najmniej detektywem. Widziałem w jej oczach zaskoczenie, strach, ale też cień empatii. Zatem nasze relacje są dobre. Najwidoczniej zależy jej na mnie, ale nie spodziewała się mnie ujrzeć w takich okolicznościach.

– Schowaj się za mną – mówi, przesuwając się po skrzypiących deskach.

Słyszając jej słowa, czuję się tak, jakby ktoś strzelił mnie ścierką w pysk. Nie odczuwam strachu, więc nie wiem dlaczego miałbym się chować za jej plecami. A jednak wykonuję polecenie.

– Gdzie my jesteśmy? – pytam, opierając dłoń na jej ramieniu.

– Wysypisko Clean Harbor przy Denni Street – odpowiada, a ja czuję, że jej ciało drży. – Jak się tutaj znalazłeś?

Sam chciałem to wiedzieć. Nie pamiętam nic, dosłownie nic. Staram się przejrzeć zakątki umysłu, ale panuje w nim zupełna pustka.

– Nie wiem – odpowiadam zrezygowany.

Podążamy jakimś korytarzem. Zdaje się, że jesteśmy na terenie wielkiego magazynu. Pokój, z którego rozpoczęła się nasza podróż, był wielkości składziku, ale teraz wszystko staje się coraz większe.

Nagle słyszę huk i czuję na plecach ciepło. Odwracam się, a chmura dymu uderza prosto w moją twarz. Jest gorący i dosłownie pali mi płuca. Zaciskam palce na ramieniu policjantki.

- Zakryj usta i nos - mówię i sam osłaniam twarz marynarką, którą mam na sobie.

Działam kierowany instynktem. Wychodzę przed nieznajomą. Podaję jej dłoń i ciągnę ją za sobą. Nie wiem dlaczego, ale coś mi podpowiada, że właśnie tak powinienem się zachować. Przemierzamy korytarz do końca i wypadamy na środek hali. Tutaj przetapiają stal. Znam zapach, który unosi się w powietrzu. Musimy jak najszybciej wydostać się na zewnątrz.

Skracam w lewo. W oddali widzę żeliwne drzwi i proszę w duchu, by były otwarte. Biegnę do nich, naciskam klamkę, ale nie mamy tego dnia szczęścia.

- Jak się tutaj dostałaś? - pytam i widzę, jak jej wzrok przenosi się w miejsce, z którego przed chwilą przyszliśmy.

- Nie wrócimy tą samą drogą - odpowiada, a ja czuję, jak temperatura zaczyna rosnąć.

Muszę myśleć i działać. Spoglądam na swoją towarzyszkę, rozgląda się na boki. Za oknem panuje mrok. Mamy kilka minut, nim ogień naruszy konstrukcję. Staram się zebrać jak najwięcej informacji.

Jedynym źródłem światła są stare lampy wiszące pod blaszonym sufitem. Budynek wydaje się opustoszały. Jedynie widoczne drzwi są zamknięte. Kurwa, przecież musi być jakaś alternatywna droga ucieczki. Temperatura rośnie. Z korytarza, którym przyszliśmy, bucha ogień. Dym zaczyna

rozprzestrzeniać się po hali. Udujemy się szybciej, niż usmaży nas płomień. I wtedy sobie przypominam – po drodze mijaliśmy drabinę, zapewne prowadzi na dach. Wyteżam wzrok i przy podłodze dostrzegam jej zarys przez gęsty dym.

– Zbyt blisko ognia – mówi nieznajoma, jakby czytała mi w myślach.

– Niekoniecznie – odpowiadam bez wahania.

Rozglądam się wokół i zauważam wystający pręt. Zdejmuję szybko marynarkę, zahaczam ją o niego i ciągnę. Jedno szarpnięcie pozwala na rozerwanie materiału. Dzielę się nim ze swoją towarzyszką. Spoglądam prosto w jej oczy. Nie jest to plan idealny, ale jedyny, jaki mam. Przyglądam się sklepieniu i zauważam kłapę. Mam nadzieję, że przejście będzie otwarte. Inaczej utknijemy pod sufitem skazani na pewną śmierć.

– To niewiele pomoże – zauważa moja towarzyszka. – Poza tym teraz jesteś praktycznie cały odsłonięty.

– Może dzięki temu nie udujemy się przed dotarciem na szczyt. Reszta nie ma znaczenia, o ile pozostaniemy przy życiu. – Spoglądam ponownie na ogień. – Mamy jakieś czterdzieści pięć sekund, później dojście do drabiny będzie już niemożliwe – dodaję, widząc, jak ogień sięga po metalowe szczeble.

Wzrok nieznajomej staje się czujny. Wygląda to tak, jakby zdziwiły ją moje słowa. Sam jestem zaskoczony. Nadal nie wiem, kim jestem ani jak działa mój instynkt.

Ruszam z miejsca.

– Dawaj! – krzyczę, chwytając dziewczynę za rękę.

Dobiegamy do drabiny. Puszczam swoją towarzyszkę przodem. Nie chcę, aby znalazła się zbyt blisko ognia. Czuję bijący od płomieni żar. Zaciskam dłonie na drabinie i wspinam się po szczeblach, ignorując wszechogarniający ból. Nie zatrzymuję się jednak, aż nie dojdę do tego cholernego włazu.

– Nie dam rady – słyszę.

Widzę, że kłapa drga, kiedy nieznajoma próbuje ją otworzyć, zatem nie jest zablokowana. Dym rozlał się już po całej hali. Mamy coraz mniej czasu.

– Przejdź na drugą stronę i wpuść mnie na swoje miejsce – mówię, zachowując potrzebny spokój.

Szukam w miarę stabilnego oparcia dla stóp i dociskam plecy do kłapy. Biorę głęboki wdech i napieram na nią z całych sił, aż uderza we mnie podmuch wiatru. Języki ognia niemal sięgają już naszych stóp. Musimy uciekać. Wychoďte na dach. Ona jest tuż za mną. Najbliższy budynek jest oddalony jakieś dwa metry od naszego. Spoglądam na nieznajomą i widzę na jej twarzy rezygnację.

– Nie dam rady – mówi, podchodząc do krawędzi. – Doskonale wiesz, jak bardzo się boję wysokości. – Jej ciało drży.

– Posłuchaj mnie. – Chwytam ją za barki. – Pójdę pierwszy i w razie czego cię złapię. Musisz tylko rozpędzić się i skoczyć. Jeżeli tu zostaniemy...

– Poczekajmy na wsparcie – przerywa mi.

– Czujesz te drgania? – pytam. – Stal zaczyna pracować pod wpływem temperatury, wygina się i lada moment budynek runie. Wolę być daleko, kiedy to nastąpi. – Patrzę jej prosto w oczy. – Dasz radę.

Rozpędzam się i skaczę nad przepaścią. Następnie wychylam się najdalej, jak tylko mogę, żeby pomóc dziewczynie. Widzę w jej oczach strach.

– Nie podchodź tam – mówię, patrząc, jak powoli zbliża się do krawędzi. – Rozpędź się i wybij z całych sił.

Zamyka oczy.

Raz, dwa, trzy – czytam z ruchu jej warg.

Rozpędza się i wybija do skoku, ale waha się przez ułamek sekundy. Czuję się, jakbym oglądał tę scenę

w zwolnionym tempie. Wiem, że jej się nie uda. Wyciągam rękę najdalej, jak mogę. Słyszę krzyk, a zaraz potem czuję mocny uścisk wokół nadgarstka.

Szarpnięcie powoduje, że padam na beton. Nie zwalniając chwytu, pomagam jej wspiąć się na dach. Jesteśmy uratowani. Stajemy na krawędzi i patrzymy, jak trawiony przez płomień budynek się wali.

- Dziękuję - mówi, ale słyszę w jej słowach odrobinę złości. - Tylko to ja powinnam zająć się tobą, nie odwrotnie.

- Zrewanżujesz się kiedyś - odpowiadam.

Wyjmuje telefon. Wystukuje coś na ekranie i przykłada aparat do ucha.

- Czteryście pięćdziesiąt jeden na wysypisku przy Denni Street, wezwijcie straż pożarną i pogotowie.

*

Siedzę na tyłach ambulansu. Policja szykuje się, żeby zebrać ode mnie zeznania. Poparzenie na plecach okazuje się obszerne, choć nie czułem bólu. Sanitariusz rozcina koszulę i starannie oczyszcza ranę.

- Pana godność? - pyta policjant, spoglądając na notatnik w rękach.

- Ian... - Zawieszam się przy nazwisku.

Nie wiem, jak ono brzmi. Nie pamiętam i nie potrafię odnaleźć w myślach tej informacji. Widzę, jak zza pleców mężczyzny wyłania się blond czupryna.

- Ian Fell - odpowiada za mnie nieznanym. - Miej trochę godności. Ten pan mnie uratował, możesz spokojnie poczekać z pytaniami, aż skończą go opatrywać.

Kim jesteś, Ianie Fellu?

Kim jesteś?

I'M JUST A BLONDE

Zoe

Nie mam zadyszki ani nic mi się nie stało. Jednak skok między budynkami na znacznej wysokości to niekoniecznie coś dla mnie. Za dzieciaka wspinałam się po drzewach i tak nabawiłam się lęku wysokości. Niekiedy głupio mi przed Ianem, że w ten sposób reaguję, gdy tylko znajdę się w podobnych okolicznościach.

A skoro o wilku mowa... Patrząc na opatrywanego przy ambulansie mężczyznę i zastanawiam się, skąd on się tam wziął. Znam go od lat i nigdy nie dał mi choćby cienia podejrzenia, że mógłby mieć coś na sumieniu. To porządny i poukładany facet. Dobra praca, staranny wygląd, nienaganne maniery, grzeczny i rozważny. Można by powiedzieć, że wręcz nudny. Idealny materiał na głowę rodziny. Domek na przedmieściach i gromadka dzieci – tak mogą go widzieć inni. Ale ja wiem, jaki jest naprawdę.

Nie zmienia to jednak faktu, że jest porządnym obywatelem i nigdy nie pakuje się w kłopoty. Kartotekę ma czystą.

No tak, przyznaję, że prześwietliłam go na początku naszej znajomości. Sam numer ubezpieczenia nie wystarczy, by poznać człowieka. Ale nie znalazłam niczego prócz jednego mandatu za parkowanie. I to sprzed lat.

Strzepuję popiół z błękitnej koszuli i poprawiam marynarkę, w której zauważam dziurę w rękawie. Świetnie. Przechesuję palcami krótkie rozczapierzone włosy i posyłam uśmiech pierwszemu oficerowi odzianemu w mundur.

– Zaprosimy pana na komisariat jutro rano – mówię, puszczając oko do Iana, a młody policjant od razu zgadza się ze mną i odchodzi. – Wszystko w porządku? – pytam swojego przyjaciela, kiedy zostajemy sami, na co on kiwa głową. – Chodź, podwiozę cię do domu.

Odwracam się i ruszam, ale gdy zauważam, że nie idzie za mną, przystaję. Zerkam za siebie i unoszę brew. Mężczyzna wreszcie kiwa głową i wstaje. Zmierzamy do mojego wozu, a ja mam wrażenie, że coś nie gra. Wydaje się, jakby ktoś podmienił rozgadanego Iana na jakiegoś milczka.

W samochodzie również żadne z nas się nie odzywa. Co chwilę zerkam w prawo, ale siedzący obok mnie facet zdaje się nad czymś intensywnie myśleć.

– Powiesz mi w końcu, skąd się wzięłeś na tym wysypisku? – pytam, gdy wyjeżdżamy na autostradę portową.

– Nie wiem – rzuca ze wzrokiem wbitym w dłonie.

– Rozumiem, że chcesz mnie zbyć. Spoko – prychem pod nosem. – Nie to nie.

Ian nie odpowiada. Obrzuca mnie tylko zaciekawionym spojrzaniem i odwraca głowę w stronę okna. Po dwudziestu minutach wjeżdżam na parking komisariatu. Parkuję i gaszę silnik, wywołując tym reakcję milczącego pasażera.

– Masz zamiar tam iść? – pyta, ruchem głowy wskazując wysokie kolumny przed wejściem głównym.

– No tak – potwierdzam, unosząc brwi.

– A... – urywa i się rozgląda – a ja?

– Przecież nigdy cię nie podwożę pod sam dom – dziwię się. – Nie rozumiem. Stąd masz kilkadziesiąt metrów do swojego białego domku z piękną trzynastką na drzwiach – dodaje, kiwając w stronę jego miejsca zamieszkania.

– No tak – rzuca i uśmiecha się jakoś dziwnie.

– Ian – mówię szybko, zanim wysiądzie, a jeszcze szybciej chwytam jego dłoń. – Wszystko w porządku? – dopytuję kolejny już raz i zaciskam palce.

Mężczyzna zaskoczony spogląda na nasze splecione ręce i po chwili wyswabadza się z mojego uścisku. Widzę, że nad czymś główkuje, aż wreszcie zaciska usta w wąską linię.

– Tak, wszystko dobrze, pani detektyw – rzuca i wysiada z samochodu.

– Pani detektyw? – mówię sama do siebie, wpatrzona w plecy odchodzącego przyjaciela.

Dziwne.

Kręcę na to głową i opuszczam pojazd, po czym pokonuję kilka stopni, by wejść na komisariat. Od razu kieruję się do swojego wydziału. Muszę się dowiedzieć, co wynika ze wstępnych ustaleń w laboratorium. Zack zebrał próbki z miejsca podpalenia. Nie uszło mojej uwadze też to, że subtelnie odebrał ode mnie kawałek marynarki Iana. Ten sam, który Ian podał mi do zasłonięcia twarzy podczas wyjścia z zadymionego pomieszczenia. Później zauważyłam na materiale krew. W trakcie opatrywania przy ambulansie zarejestrowałam, że Ian nie odniósł żadnych ran. Zatem chyba nic dziwnego, że chcę wiedzieć, skąd ta krew.

No i dlaczego Ian w ogóle tam był? Dlaczego nie chce mi nic powiedzieć?

– Brown, do mnie! – słyszę głos kapitana, kiedy tylko stawiam stopę za progiem.

Przewracam oczami, bo to takie typowe dla Nathaniela Palmera. Czy kiedyś mu się to znudzi?

- Tak? - pytam, wchodząc do jego gabinetu, i od razu opadam na krzesło przed biurkiem.

- Tracę do ciebie cierpliwość, Zoe - rzuca zły, po czym podnosi się z fotela, by opuścić żaluzje.

Wysoki brunet przed czterdziestką, o mięśniach, które niemal rozrywają szwy koszuli. Kobietom się to podoba. On się podoba kobietom.

- Co, będziemy się całować? - przekomarzam się, widząc, że całkowicie nas zaslania.

- Gdzie Mack? - pyta, ignorując moje słowa, na co wzruszam ramionami. - Jeżeli mi tego nie powiesz, będziesz musiała wybrać, kto z was za to beknie - ciągnie, siadając w swoim fotelu. - Ty, dlatego że poszłaś tam sama, czy Owenson za to, że gdzieś się ulotnił?

- Mack ma chorą córkę - kłamię naprędce i kręcę przy tym głową. - Musiał urwać się szybciej, bo wypadła mu wizyta u lekarza.

- Kogo chcesz oszukać? - Unosi wysoko brwi. - Mnie czy siebie?

- Ciebie? - rzucam pytająco.

- Zoe...

- Nate - przerywam mu - naprawdę się czepiasz bez powodu. Pracujemy nad sprawą seryjnego, a to nie jest coś, co możesz robić od ósmej do szesnastej. Często nawet kolację jemy w robocie - mówię już zdecydowanie poważniej. - Sprawdzam każdy trop, a ty masz problem, że tam pojechałam?

- Mam problem, bo pojechałaś tam sama.

Racja.

- Wezwałam wsparcie - kłamię.

– Tak, po zawaleniu się hali wysypiska – prycha. – Zack mówił, że był tam Ian.

Kurwa.

– Był – potwierdzam, ciesząc się, że zmienia temat.

– No? – Wyciąga ręce i unosi brwi, jakby czekał, aż będę kontynuowała.

– No i nic. – Wzruszam ramionami.

– Ja pierdolę. – Wzdycha. – Dlaczego tam był?

– Wybacz, jestem blondynką – mówię z pełną powagą, na co karci mnie spojrzeniem. – Może dlatego, że dzieją się tam, a raczej działy, jakieś czynności technologiczne, a on pracuje w fabryce samochodów?

Nozdrza Nate’a się rozszerzają, kiedy wściekły nabiera powietrza. Zamyka na chwilę oczy, po czym spogląda na mnie ponownie.

– A dlaczego ty tam byłaś? – Jego głos jest dziwnie spokojny.

– Bo musiałam sprawdzić trop.

– Jaki?

– Rebus – odpowiadam zgodnie z prawdą.

– Kurwa! – wydziera się i uderza otwartą dłonią w blat biurka. – Przystaniesz robić sobie ze mnie jaja?

Marszczę czoło i przechylam głowę w bok. Przez chwilę nic nie mówię, czekam, aż kolory zaczną odpływać z twarzy przełożonego.

– Mam zgłosić mobbing? – pytam, wstając.

– Zoe, to...

– Pieprz się – przerywam mu i ruszam do drzwi. Kiedy kładę rękę na klamce, odwracam się. – Coś jeszcze, panie kapitanie? Czy mogę wracać do swoich obowiązków?

Nathaniel macha ręką, jakby robił mi łaskę, pozwalając się oddalić. Wychodzę i trzaskam drzwiami. Niech sobie myśli, że ma nade mną władzę.

THE FIRST ONE

Zoe

Od kilku miesięcy pracujemy z Mackiem nad serią zabójstw. Teoretycznie sprawę powinien prowadzić trzeci posterunek Southwest, ponieważ można domniemywać, że pierwsze zabójstwo miało miejsce na terenie podległym właśnie temu biuru operacyjnemu. Ofiara mieszkała i pracowała dokładnie tam. Jednakże ciało odnaleziono kilka metrów za granicą dzielącą dystrykty, już po naszej stronie.

Wypijam łyk tej ohydnej kawy z zaparzarki i czytam o Amandzie Louis, pierwszej dziewczynie na liście. Została odnaleziona pięć miesięcy temu na skrzyżowaniu Czterdziestej Ósmej z Kansas Avenue, niedaleko Vermont Square Branch Library. W toku postępowania ustaliliśmy, że trzydziestotrzylatka pracowała w tej bibliotece jako osoba oddelegowana do zadań propagowania czytelnictwa. Była zaangażowana i świetnie wywiązywała się ze swoich obowiązków. Miała dobre kontakty ze współpracownikami, którzy jawnie okazywali cierpienie po jej stracie.

Wyglądała przeciętnie. Wysoka, ciemne włosy do połowy pleców, twarz okrągła, szczupła budowa ciała, ładna buzia, brązowe oczy. Żadnych znaków szczególnych, tatuaży czy widocznych śladów po wkluciach igieł. Toksykologia również wykazała czysty organizm.

Nie zgłoszono zaginięcia, choć nie wróciła na noc do domu. Patolog ustalił, że zgon nastąpił między dwudziestą trzecią a dwudziestą trzecią trzydzieści. Zauważyła ją kobieta w średnim wieku, która rankiem szła do pracy w pobliskim hotelu.

Ciało leżało za ogrodzeniem niezamieszkanego domu wystawionego na sprzedaż. Ulica nie jest zbyt ruchliwa, więc nikt więcej nie przemieszczał się tamtędy nocą, a nawet gdyby, to dojrzenie denatki zza metalowego ogrodzenia mogłoby być trudne.

Zespół Zacka pracował nad wykluczeniem samobójstwa, które mogły sugerować dwie rany cięte na nadgarstkach. Jednak przeczyło temu kolejne cięcie – na gardle.

Spoglądam na fotografię ładnej dziewczyny. Była w moim wieku. Zagryzam wargę na widok jej bladosińskiej twarzy. Według ustaleń biegłych ciało leżało porzucone przez blisko osiem godzin. Tyle czasu wystarczyło, by śmierć odcisnęła swoje piętno.

Dalej ustaliliśmy, że Amanda mieszkała sama przy skrzyżowaniu Czterdziestej Piątej z Raymund Avenue. Wyszła z pracy po dwudziestej drugiej, gdyż tego dnia w bibliotece odbywało się spotkanie czytającej młodzieży. Amanda pożegnała się z kolegami z pracy i ruszyła do domu.

Ale miejsce, gdzie ją znaleziono, nie leżało na trasie, którą powinna była obrać.

Zamykam teczkę i odkładam ją na bok, aby chwycić kolejną, w której trzymamy zeznania wszystkich osób

biorących udział w spotkaniu promującym czytelnictwo tamtego dnia. A także pracowników i każdego gościa dwugwiazdkowego hotelu, który znajduje się ulicę dalej, przy Vermont Avenue. Pewnie można by uznać, że była to przypadkowa zbrodnia. Jedna z tych niezaplanowanych, przy okazji.

Wykluczaliśmy jednak napaść na tle seksualnym, a to jedna z głównych przyczyn zbrodni w afekcie. Zaraz po tych rabunkowych. Kobieta nie została zgwałcona ani nawet rozebrana, a tym bardziej okradziona. Jedyne ślady, jakie na sobie miała, to cięcia oraz kilka sińców świadczących o jakiejś walce. Niestety nie znaleźliśmy żadnych śladów biologicznych.

Przeglądam każde zeznanie po kolei. Jeden z przesłuchiwanych opowiadał o tym, że był na spotkaniu, ale nie rozmawiał z Amandą. Drugi był zafascynowany wydarzeniem, ale wyszedł w towarzystwie kilku osób, które to potwierdziły. I tak dalej... Osoby zameldowane w hotelu mają alibi, pracownicy podobnie.

Oglądam kolejny raz zdjęcia i policyjne nagranie wideo z miejsca zbrodni. Nic nowego nie przychodzi mi do głowy – mam tylko to, co już zdążyliśmy ustalić.

Odrzucam wszystkie trzymane papiery, rozkładam się w fotelu i zarzucam nogi na biurko. Przygryzam wargę i wodzę wzrokiem po biurze w poszukiwaniu jakiejś wskazówki. Wtem moje spojrzenie pada na kluczyki od służbowego forda. Dwa razy nie trzeba mi powtarzać.

Zrywam się w te pędy i ruszam do wyjścia. Jest jeszcze wczesnie, więc ominę korki. Zresztą to tylko kilkanaście mil stąd.

Zaczynam od miejsca zamieszkania Amandy przy Czterdziestej Piątej. Wyciągam z worka klucze od jej mieszkania i wchodzę do środka. Ponownie przyglądam się każdej

rzeczy wewnątrz. Meble ustawione standardowo, bez żadnych ekstrawagancji. Łóżko zaścielone idealnie, jakby codziennie rano podlegało ocenie. Zero śladów wskazujących, by miała partnera – żadnej szczoteczki do zębów, maszynki do golenia czy dwóch kubków po porannej kawie pozostawionych na stole w kuchni.

Mieszkanie wygląda tak, jakby przeszło generalne sprzątnięcie przed Świętem Dziękczynienia. Aż się wzdrygam, bo ja ścielę łóżko może kilka razy w roku. Normalnie pościel wala się nieulożona, bo sama nie mam potrzeby, aby wszystko wyglądało jak z katalogu. Jakaż ona musiała być samotna...

Kiedy tak patrzę na idealną i poukładaną przestrzeń denatki, uzmysławiam sobie, że moje życie osobiste to totalny chaos. W pracy jestem poukładana i wszystko skrupulatnie archiwizuję, ale po wyjściu z komisariatu jestem normalną Zoe, która nie lubi porządku, harmonogramów ani niczego, co miałoby mnie w jakiś sposób ograniczać.

Ale teraz jestem w robocie, więc zgodnie z zasadami czas zwiedzić jeszcze miejsce pracy zamordowanej oraz to, gdzie ją odnaleziono.

W bibliotece czekają mnie jedynie lamente z powodu straty czy złość na tego, kto dopuścił się takiego uczynku. Ponownie muszę obiecać, że zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby dorwać zabójcę. Jednak nie mam z tym problemu, bo to przecież prawda.

Po ponownym obejrzeniu miejsca zbrodni, a ściślej odnalezienia ciała, wracam na komisariat. Nic więcej dzisiaj nie wyciągnę z tego, co już udało mi się ustalić. Smutne życie samotnej trzydziestokilkulatki, której nie zidentyfikowalibyśmy tak szybko, gdyby nie dokumenty w torebce, bo przecież nikt jej nie szukał.

Jakie to... znajome.